

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 40 „

$\frac{1}{4}$ „ — 20 „

$\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Niedawne dzieje.

W połowie czerwca b. r. ukazał się w organie szaulisów „Trinitas” wywiad współpracownika tego pisma p. Biczunasa z prof. Michałem Römerem, obecnym rektorem Uniwersytetu Kowieńskiego na temat planów marsz. Piłsudskiego względem Wilna i Litwy w latach 1919—20. Wywiad ten był częściowo przytoczony w „Kurierze Wileńskim” wraz z komentarzami p. Testisa.

Pominęliśmy wówczas milczeniem ten ciekawy materiał historyczny, gdyż mieliśmy nadzieję, że uda się nam go uzupełnić i zużytkować w innej formie. Z pewnych względów zmuszeni jesteśmy na razie zrezygnować z tych zamiarów i poprzestać na podaniu wynurzeń prof. Römera w stanie surowym, odkładając na później swoje uwagi.

Prześladowany przez władze rosyjskie prof. Römer od młodych lat nie cierpiał Rosji i nie wierzył w jej obietnice dawane Polakom. Nie wierzył w nie również Józef Piłsudski, który w Galicji utworzył legjony polskie i wraz z Austriakami i Niemcami walczył z Rosjanami. W r. 1915 prof. Römer udaje się pokryjomu przez Rumunję do Galicji i zaciąga się do legjonów Piłsudskiego. W akcji wojennej nie wypadło prof. Römerowi brać żywszego udziału, natomiast nawiązał bliskie stosunki z Józefem Piłsudskim.

Prof. Römer Piłsudskiego określa w sposób następujący: „Człowiek ten, chociaż urodził się wychował się w Wileńszczyźnie (w Zułowie), całkiem nie zna Litwy. Stary rewolucjonista i konspirator, posiada on wszelkie cechy szlachty litewskiej: dumny, zadufany w sobie, zawsze noszący się z szerokiemi, prawie nieograniczonemi zamiarami. Narodowego odrodzenia Litwy wcale nie zna, gdyż z Wilna wyjechał w r. 1897-ym. Przyzwyczajony słyszeć, iż jeszcze od r. 1863-go przywódcami społeczeństwa i ludu litewskiego jest szlachta, z narodowym ruchem Litwy Piłsudski wcale się nie liczył i nie zwracał nań żadnej uwagi”. Daremnie prof. Römer usiłował wyjaśnić mu tę sprawę. Piłsudski wciąż był przekonany, iż odrodzenie Litwy to wysiłki „garści awanturników”, które będą musiały pójść w niwecz.

„Uważając szlachtę litewską za przedstawicieli naszego kraju i rzczytników społeczeństwa, Piłsud-

ski pokładał u niej wszystkie nadzieje. Myśląc o odbudowie niepodległej Polski, Piłsudski wyobrażał ją sobie, jako państwo federacyjne, składające się z poszczególnych jednostek: Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Warszawa, Wilno, Mińsk i Kijów winny były, według Piłsudskiego, być czterema stolicami tego zjednoczonego państwa. Cała ekspansja Piłsudskiego była skierowana nie na zachód, lecz na wschód i północ. Podówczas Piłsudski stał na czele PPS, która była przeciwna polityce polonizacyjnej. Piłsudski również nie popierał polonizacji. U steru jednak polityki Piłsudski skłonny był widzieć jedynie Polaków”.

W r. 1917-ym prof. Römer internowany został w niemieckim obozie jeńców, skutkiem czego jego kontakt z Piłsudskim na jakiś czas się urwał. W r. 1918 prof. Römer jednak się uwolnił i otrzymuje stanowisko sędziego w Łomży. W 1919 r. prof. Römer na zaproszenie Piłsudskiego udaje się do Warszawy. W owym czasie Piłsudski był Naczelnikiem państwa polskiego i szykował się do wojny z bolszewikami. Postanowiono było, iż w czasie Wielkiej Nocy wojska polskie zajmą Wilno. Tak postanowił sam Piłsudski i jego zwolennicy w tajemnicy przed rządem polskim. Na czele państwa polskiego stali wówczas polityczni wrogowie Piłsudskiego z obozu narodowego. Piłsudski nie był skłonny oddać temu rządowi Wilno i Litwę. Pragnął on, by sami Litwini zgodzili się połączyć się z Polakami, tworząc własne państwo. W tym celu postanowiono wysłać z Warszawy delegata do Wilna, który przygotowałby grunt przyszłemu wkroczeniu wojska polskiego. Delegatem tym miał być prof. Michał Römer. Miał on reprezentować przyszłych piłsudczyków, którzy w tajemnicy przed rządem polskim z udziałem Piłsudskiego zbierali się w mieszkaniu Prystora w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej. Oprócz Prystora, M. Römera i Piłsudskiego w zebraniach tych brali udział: Witold Abramowicz, Jan Piłsudski i inni. W czasie zebrania tych omawiane były „programy wschodnie”, redagowane i odczytywane odezwy Piłsudskiego do mieszkańców Litwy, Ukrainy i Białorusi. Według planu Piłsudskiego wojska polskie nie miały anektować zajętych obszarów, lecz tylko wygnać bolsze-

wików i dopomóc w utworzeniu się rządów miejscowych. Nawet polska ludność cywilna nie miała być do tych obszarów dopuszczona. Rządy miejscowe miały być przychylnie planowi Piłsudskiego utworzenia federacyjnego państwa polskiego...

Profesorowi Römerowi plan taki wydawał się niewłaściwy. Co najmniej w sprawie utworzenia rządu Litwinom należało pozostawić inicjatywę. Prof. Römer zgodził się udać się w celu podjęcia narad ze społeczeństwem litewskim w tej sprawie. Był on zdania, iż szlachta litewska nie może stanąć na czele państwowego ruchu litewskiego, gdyż lud jej nie ufa. Nie znalazłszy w Wilnie nikogo, z którymby można było radzić w tej sprawie, prof. Römer udał się do Kowna, gdzie podówczas istniał rząd koalicyjny, utworzony przez Radę Państwa (Tarybę). Niektórym członkom tego rządu (St. Kairysowi, P. Leonasowi i J. Vilejszysowi) prof. Römer przedstawił myśli Piłsudskiego i swoje w sprawie dalszych losów Litwy. Zasięgał on ich zdania w sprawie, czy możliwe byłoby utworzenie takiego rządu, w którym równy udział braliby Litwini, Polacy litewscy i Białorusini i czy Litwini zgodziliby się wziąć udział w rządzie, który utworzyłoby wojska polskie, wkroczywszy do Wilna?

Odpowiedź nie nasunęła większych nadziei: zdaniem litewskich działaczy społecznych kontakt możliwy byłby dopiero wówczas, gdyby wraz z wojskiem polskim do Wilna wkroczyło również wojsko litewskie. W innym razie Litwini postępek Piłsudskiego uważaliby za sprzeczny z interesami Litwy. Chociaż Piłsudski przeznaczył prof. Römera na prezesa ministrów przyszłego polsko-litewsko-białoruskiego rządu, jednak prof. Römer nie dążył do władzy. Chodziło mu o bezstronne wyjaśnienie przyszłych możliwości Litwy.

W początkach 1919 r. Litwa była już niepodległa, jednak okupacja niemiecka wciąż trwała. Jednakże nawet poprzez okupację niemiecką przebijają promienie przyszłej wolności, które zapowiadały lepsze jutro. Piłsudski naturalnie tych rzeczy ani wyobrazić, ani zrozumieć nie mógł. Był on, zdaje się, przekonany (przynajmniej tak głosił), iż Litwa, pozostawszy sama, skazana będzie na zagładę i na zagarnięcie przez bolszewików lub Niemców. Wcale inne wrażenie odniósł prof. Römer w czasie bytności swej w Kownie. Było dlań jasnym, iż rząd litewski już wówczas zdziałał wiele, a niepodległa Litwa była już faktem niewątpliwym. Tworzenie innej Litwy przy pomocy wojska polskiego było nonsensem. Utworzenie rządu litewskiego, w którym Litwini nie wzięliby udziału, byłoby równoznaczne z aferą polityczną, w której prof. Römer nie chciał brać udziału. Po powrocie do Warszawy prof. Römer wszystko to przedstawił Piłsudskiemu. Piłsudski jednak nie usłuchał go i w pierwszych dniach kwietnia 1919 r. wojska polskie zajęły Wilno. Po zajęciu Wilna Piłsudski natychmiast wyruszył przeciwko Mińskowi i Kijowowi. Po utwierdzeniu się w tych miastach zamierzał on wyruszyć w głąb Litwy i całkowicie ją okupować, lecz Kijów zabrali bolszewicy, poczem nastąpił marsz bolszewików na Warszawę, który o mało nie zburzył państwa polskiego. Marsz jednak bolszewików na Warszawę skończył się ich porażką. Polacy wszakże byli tak osłabieni, iż nie mogli myśleć o realizacji „planu wschodniego” Piłsudskiego. Wówczas Piłsudski wpada na nowy pomysł: wobec nieprzychylnego ustosunkowania się Francuzów i Anglików do jego planu wschodnie-

go oraz niepopierania go przez PPS, projektuje on trzy rzekome „bunty”, którym mieli przewodzić Petlura, Bułak-Bałachowicz i Żeligowski. Petlura i Bałachowicz zostali pokonani i zwyciężył tylko Żeligowski. Po odparciu Polaków przez bolszewików cała polityka polska zwróciła się w kierunku endeckim. Federacyjna „Rzeczpospolita” Piłsudskiego przepadła. Część Litwy wraz ze stolicą Wilnem oraz ziemie ukraińskie i białoruskie stały się kresami i gruntem dla polonizacji.

Widząc obłudną politykę polską względem Litwy, prof. Römer w 1921 r. opuścił Polskę i powróciwszy na Litwę z zapałem zabrał się do pracy naukowej i społecznej. W tymże 1921 roku w Kownie była utworzona t. zw. komisja wschodnia, w której brał udział także prof. Römer. Komisja postawiła sobie za cel przybliżenie Wilna do Litwy. Jednocześnie prof. Römer rozczarował się ostatecznie co do planów Piłsudskiego i wysłał w tej sprawie do niego długi wyczerpujący list. Taki był epilog przyłączenia Wilna do Polski.

Wątpliwe pobudki, ale słuszna krytyka.

„Gazeta Warszawska” w atykułe p. t. „Potęga biurokracji” wypowiada m. inn. następujące słuszne uwagi.

„Wiele już pisano i dyskutowano o dodatnich i ujemnych stronach biurokracji, o jej roli w różnych systemach rządzenia. Im więcej państwo wkracza w prywatne stosunki obywateli, im bardziej etatyzuje się życie społeczeństwa, tem silniej utrwala się znaczenie biurokracji. Jedynowładztwo i dyktatura są w gruncie rzeczy tylko teorją. Każdy bowiem system musi posługiwać się pewnym aparatem administracyjnym, który, działając w imię tego systemu, posiada de facto dużą swobodę w jego stosowaniu. Dla chłopca i drobnego mieszczanina przedstawicielem władzy rządowej nie jest minister, wojewoda, ani nawet starosta, ale wójt, sołtys, a przede wszystkim egzekutor podatkowy i posterunkowy policji państwowej, którzy, jako bezpośredni wykonawcy praw i poleceń wyższych władz, mają bardzo często decydujący wpływ na ukształtowanie się stosunków między społeczeństwem a rządem.

Niema ludzi idealnych, a funkcjonariusze państwowi są także tylko ludźmi. Działają oni tem sprawniej i sprawliwiej, im lepiej są kontrolowani. Kontrola służbowa, przez władze przełożone wykonywana, jest konieczna, ale niewystarczająca. Musi ona być uzupełniona, od dołu i z boku, przez kontrolę społeczeństwa. Rolę tę spełniać ma sejm, złożony z ludzi, mających bezpośredni kontakt z ludnością państwa. Wprawdzie taka kontrola sejmowa często przeradza się w t. zw. „partyjnictwo”, atakowane w wielu wypadkach słusznie przez zwolenników przewrotu majowego, jednak brak tej kontroli, lub też wykonywanie jej przez jedną tylko partję, jest w skutkach jeszcze gorsze. Biurokracja, utożsamiając się formalnie z panującym obozem politycznym, może z nadmiaru gorliwości, w dążeniach do kariery, a nawet dla innych jeszcze celów osobistych jej przedstawicieli, działać na szkodę zarówno społeczeństwa, jak i rządu.

I dlatego rząd — niezależnie od jego ideowych

założeń, — nie powinien jednostronnie opierać się na samej tylko biurokracji, ale powinien szukać równowagi między nią a społeczeństwem, hamując w wielu wypadkach jej zapędy do wszechwładzy. Nawet z idei, utożsamiającej — fałszywie zresztą — państwo z rządem, nie wynika wcale, jakoby ten rząd musiał działać wyłącznie tylko przez podwładnych sobie urzędników. Jeżeli rząd nie ma zaufania do społeczeństwa, to nawzajem i społeczeństwo ma dość powodów po temu, aby nie żywić zaufania do biurokracji.

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami postępującego szybko wzrostu potęgi biurokracji. Zwracamy tu uwagę szczególnie na samorząd terytorjalny i ustawodawstwo podatkowe.

Nowa ustawa samorządowa stwarza podwaliny pod rozwój nowej biurokracji. Zmodernizowana rosyjska gmina zbiorowa i nowy ustrój magistratów, oddaje samorząd terytorjalny w ręce biurokracji, która już obecnie usadawia się w nim przez rządy komisarskie. Można dużo i słusznych zarzutów postawić samorządowi, opartemu na czynniku obywatelskim, ale — że wskażemy tylko na Lwów — na te same zarzuty, nawet w wyższym stopniu, zasługują i rządy komisarskie. Trudno oczywiście rozstrzygnąć tę licytację in minus, ale nie ulega wątpliwości, że gdzie więcej oczu patrzy na palce — choćby czasem tylko przez niezaszczytną zazdrość — tam te palce są ostrożniejsze.

Na froncie podatkowym wzrost znaczenia biurokracji ma się wyrażać usunięciem przedstawicieli płatników z komisji szacunkowych i odwoławczych. Oczywiście i tutaj można przytoczyć mnóstwo przykładów nadużyć, ale każdy przyzna, że delikatne sprawy podatkowe lepiej jest załatwiać przy świetle, niż pociemku.

Gdy rząd opiera się wyłącznie na biurokracji, staje się od niej coraz bardziej zależnym. Nadzór personalny, polegający na możliwości usunięcia poszczególnych osób z zajmowanych przez nie stanowisk, nie ma też istotnego znaczenia. Stopniowo rozmaici ludzie stają się niezbędni, a więc i nieusuwalni: biurokracja sama staje się systemem, uzależniając od siebie system polityczny”.

Słowem powyższym należałoby tylko przyklasnąć, gdyby można było uwierzyć, że płyną one z głębokiego przekonania. Ale pamiętamy przecież dobrze, jak postępowała endecja, gdy była u władzy. I niewątpliwie nie powstałaby dziś przeciwko upośledzeniu czynnika obywatelskiego, gdyby miała rządy w swem ręku, społeczeństwo zaś było względem nich nastrojone opozycyjnie. Teraz, kiedy endecja odczuła na swej skórze skutki wszechwładzy biurokracji, zdobywa się na zdrowy sąd o rzeczy. W szczerości powyższych jej poglądów i istotną poprawę trudno wprawdzie uwierzyć, niemniej krytyka panującego systemu jest najzupełniej słuszna.

Białorusini a Żydzi.

Zamieszczony poniżej głos, pochodzący z kół białoruskich, jest ciekawą ilustracją ewolucji, jakiej uległy stosunki narodowościowe w naszym kraju w ciągu ostatnich 10 lat. Nie jest ona dla nas bynajmniej niespodzianką, gdyż do bloków mniejszości narodowych odnosił się zawsze z wielkim sceptycyzmem. (Red.).

Prasa notuje wzrost antysemityzmu na wsi ukraińskiej. Nie jest to zwykła niechęć do Żyda.

Mamy tu do czynienia z akcją przemysłaną, zorganizowaną. Zaobserwowano wypadki, że Żyd nietylko czuje się zmuszony opuścić wieś ukraińską, lecz opuszcza ją będąc przedtem zrujnowany materialnie.

Prasa żydowska w Warszawie nie znalazła nic właściwszego w tej przykrej sprawie jak pogrozić Ukraińcom. Jakby te pogroźki wyglądały w praktyce, nic się o tem nie pisze. Można się tylko domyślić, że byłaby to bardziej otwarta walka ze współdzielczością ukraińską. Ktoby na tem więcej przegrał — można jeszcze dyskutować; nie ulega natomiast wątpliwości, że wygrałby na tem ten, w czym interesie nie leży solidarność mniejszości narodowych w Polsce.

Tak nie wesoło dzieje się na ziemiach ukraińskich. Przyjrzyjmy się przy tej sposobności jak się sprawa przedstawia tam, gdzie handel żydowski istnieje, zawdzięczając skromnej konsumpcji chłopca białoruskiego, t. j. miasteczkom i wioskom naszego kraju.

Wieśniak białoruski z miejscowym Żydem żył się od niepamiętnych czasów. Spotykają się między sobą codzien, targują się, sprzecząją się, mówiąc sobie na „ty”, oczywiście nie w celu poniżenia jeden drugiego, tylko dzięki patryjchalnym zwyczajom i wzajemnej życzliwości. Poczucie religijne każdemu z nich nakazuje jednak traktować inowiercę jako coś niższego, obcego nie tyle pochodzeniem i językiem, ile różnicą miejsc, gdzie zbierają się na modlitwę publiczną. Znają się nawzajem znakomicie. Wiedzą kiedy czyje przypadają święta. Święta żydowskie dla ludu białoruskiego, nie rozumiejącego ich znaczenia, otoczone są zawsze tajemniczością, legendami, zmyślonemi historjami, mającemi za cel wyśmianie religii i obrzędów żydowskich. Taki to już jest widocznie los judaizmu w krajach chrześcijańskich.

Nie znaczy to jednak, by pomiędzy Żydami a Białorusinami w życiu praktycznym leżała przepaść. Przeciwnie, Żydzi okazywali tu zawsze wyrozumiałość i ustepliwość. W duszy Żyd dumny jest ze swojej przynależności do narodu „wybranego”, postępuje jednak tak, jakgdyby narodowość i wyznanie jego klienta dobrze rozumiany interes stały. Jest to niewątpliwie dobrze zrozumiany interes własny.

Ponieważ Białorusin do Żyda inaczej się nie zwraca, jak we własnym języku, prawie każdy Żyd, w naszym kraju, za wyjątkiem chyba Żydów wileńskich, grodzieńskich i białostockich, mówi świetnie po białorusku. Dzisiaj jeszcze w mniejszych miasteczkach i wsiach można spotkać starych Żydów i Żydówki, którzy poza białoruszczyzną i żargonem, żadnym innym językiem mówić nie umieją. Żydzi, zamieszkujący przez dłuższy czas na wsi do tego stopnia przystosowali się do otoczenia białoruskiego, że nieraz, na równi z Tatarami, z języka a czasami z wyglądu niepodobna odróżnić ich od Białorusinów. Jeżeli sięgnąć nieco do przeszłości Żydów, tak u nas mało badanej, warto przypomnieć, że językiem białoruskim Żydzi posługiwali się nietylko w mowie potocznej pomiędzy sobą, lecz również w modłach i śpiewach religijnych, a pieśni te w niektórych miejscowościach są żywe w pamięci do dnia dzisiejszego.

Gdy po wojnie światowej ruch białoruski nabrał szerszego rozmachu politycznego, działacze żydowscy poczynają interesować się sprawą białoruską. Powstanie państwa polskiego stawia oba narody w położeniu mniejszości narodowych i stąd powstaje wspólność interesów i wspólna walka o prawa polityczne.

Najdobitniej wyraziła się ona w dwukrotnych blokach wyborczych do Sejmu. Zresztą były to bloki niemal wszystkich mniejszości w Polsce. Mimo to, że miały one różne, często sprzeczne cele ekonomiczne, jak również polityczne na dalszą metę, odnosiły one sukcesy wyborcze o tyle, że stały się solą w oku panującej większości, rządy zaś pomajowe postawiły sobie za zadanie oderwanie Żydów od innych mniejszości.

Trzeba przyznać, że zamierzony cel sanacja powoli, lecz stale osiąga. Żydzi przystosowują się do roli benjaminka mniejszościowego i dzięki odseparowaniu się i wyłamaniu się z wspólnego ongiś mniejszościowego obozu, mogą poszczycić się dziś nie jedną zdobyczą. Nie otrzymali wprawdzie znaczniejszych koncesyj politycznych, nie rozbudowali szkolnictwa. To wwodziłoby na wielkie pokuszenie inne mniejszości. Zresztą ze zdobyczami na polu kulturalnym ma się wrażenie, nie jest Żydom zbyt pilno. Mając międzynarodowe organizacje, względny dobrobyt i oświatę — Żydzi zawsze potrafią utrzymać własne prywatne szkolnictwo. Natomiast zdobycze na polu ekonomicznym były zawsze głównym celem Żydów i na tym gruncie pomiędzy nimi a sanacją dają się zauważyć wzrastające porozumienie kosztem przełamania solidarności politycznej z innymi mniejszościami.

W tem zjawisku przedewszystkiem należy dopatrywać się powodów nietylko prądów antysemitycznych na wsi ukraińskiej, ale i pewnych zmian w nastrojach wsi białoruskiej. Coś się zaczyna psuć. W takich naprzykład Stołpcach, gdzie w radzie miejskiej zasiada znaczny odsetek przedstawicieli białoruskich, nie jedno ich dążenie zostało sparaliżowane przez zgodny żydowsko-polski blok o jaskrawem zabarwieniu sanacyjnym. Ale dzieje się tak nie w jednej radzie miejskiej czy gminnej.

Handlarze małomiasteczkowi nigdy nie wykazywali całkowitego zrozumienia dla białoruskich aspiracji narodowych, jednak na odezwanie się w języku białoruskim częściej się słyszało i odpowiedź po białorusku. Dziś, niestety, daje coraz częściej się zauważyć, że gdy Białorusin, zwłaszcza ubrany po miejsku, przemówi do kupca w języku większości jego klienteli, postłyszcy odpowiedź w języku rosyjskim. Czyżby to było tylko nieporozumienie?

Ogół żydowski doskonale sobie zdaje sprawę, że lwia jego część rozsiana po miasteczkach, a często wsiach tego kraju utrzymuje się wyłącznie z handlu z tą wsią, a wieśniacy, trzeba to przyznać, czują się w sklepie żydowskim swobodniej, niż w sklepie chrześcijańskim, lub takież kooperatywie. Te ostatnie nie są w stanie konkurować z handlem żydowskim poprostu dlatego, że w chłopie już od wieków zakorzeniła się tradycja handlu z Żydem. Zdawałoby się, że w tych warunkach społeczeństwo żydowskie we własnym interesie powinno byłoby traktować rdzenną swoją klientelę nie tak lekceważąco, a już przynajmniej być dalekiem od tendencji rusyfikatorskich lub polonizatorskich.

A jednak tak nie jest.

Spółceństwo żydowskie coraz wyraźniej zajmuje postawę, jak gdyby chciało powiedzieć: im chłop jest ciemniejszy i bardziej nieświadomiony, tem łatwiej z nim handlować. Żydzi, mimo wysokiego względnie poziomu oświaty, nie przyczyniają się do podniesienia kultury na wsi, w prasie swojej nie poruszają zagadnień białoruskich, a są wypadki, kiedy imprezy białoruskie nawet bojkotują. Nie wy-

mieniam miejscowości, gdyż nie chcę tu nikogo piętnować, tembardziej, że wypadki te są odosobnione. Zachodzi jednak obawa, że takie wyjątki mogą przetrworzyć się w regułę, a wtedy możemy się stać świadkami podobnie smutnych zjawisk, jakie dziś dają się zaobserwować na wsi ukraińskiej.

Dopóki jest czas po temu, życzyliby należało, aby jak Białorusini, tak i Żydzi w celu zgodnego współżycia i współpracy szukali bardziej tego, co łączy ich ze sobą, niż tego, co dzieli.

S-wicz.

Zakłęte koło.

„Lietuvos Žinios” (Nr. 225 z 4.X.1933) zastanawia się nad przyczynami uniemożliwiającymi powstanie Związku Bałtyckiego.

Kwestja zblizenia, czy jedności państw bałtyckich stała się, zwłaszcza w ostatnich czasach, zaczarowanym kołem, o które potykają się politycy państw bałtyckich.

Wiele się o tej sprawie mówi, pisze, konferuje, uchwała. Mimo tego nie można wyjść z zaczarowanego koła, które zaczyna się wydawać kołem zakłętym. Powstaje kwestja, kto jest sprawcą tego zakłętego koła. Na pytanie to nie znajduje się odpowiedzi.

Gdy się przejrzy wszystkie etapy zblizenia państw bałtyckich, to się zauważy stały rozwój tego zblizenia. Nie mówiąc już o jednolitem działaniu, które w ostatnich czasach osiągnęło stopień niemal zadawalniający nawet największych patriotów litewskich, zblizenie państw bałtyckich zaznaczyło się na terenie współpracy prawników, lekarzy, pedagogów, ekonomistów, dziennikarzy i t. d. Jednak, jak się zdaje, dyplomacja odegrała tu stałe rolę czynnika wnoszącego rozłam. Wszyscy pamiętają, jak p. Voldemaras nazwał zblizenie państw bałtyckich marzeniem, a klauzulę bałtycką, wprowadzoną później w życie — utopją. Jakgdyby wtórując p. Volde-marasowi p. Balodis wypowiedział w Lidzie Narodów myśli, które pogląd p. Voldemarasa „pogłębiły” i uczyniły żeń niemiłą rzeczywistość. W ten sposób zblizeniu bałtyckiemu zadany został wielki cios.

Kiedy po wszystkich tych niemiłych wydarzeniach podpisano z Łotwą i Estonją traktaty handlowe, atmosfera uległa odprężeniu. Idea jedności państw bałtyckich uczyniła, jak się zdawało, krok naprzód. Jednak w roku ubiegłym sprawa ta została znowu wtłoczona w zaczarowane koło. Znowu dokładano wysiłków, by wyjść z tego koła. Zdaje się, że wysiłki te były skuteczne. Gospodarczy zjazd nadbałtycki, jaki się odbył niedawno, poczynił konkretne kroki. Tymczasem p. Lapenas, którego opinie wyrażone na plenarnem posiedzeniu Izby Handlowo-Przemysłowej były zrozumiiane, jako opinia sfer rządzących, znowu w sposób stanowczy i zasadniczy wypowiedział się przeciwko zblizeniu państw bałtyckich. Dowodził on, że zblizenie wogóle jest dla Litwy nie do przyjęcia, a nawet szkodliwe.

Sądzić należy, że sprawa zblizenia nie powinna być tak poniewierana. Zblizenie państw bałtyckich jest zagadnieniem wielkiej wagi, które staje się wręcz aktualnym wobec zarysowania się konkretnego niebezpieczeństwa w czasach ostatnich. Wydaje się rzeczą dziwną, że nad Bałtykiem niema ludzi, któ-

rzyby to doniosłe zagadnienie postawili na należytej płaszczyźnie. Rozwiązanie tego problemu jest kwestją, od której zależy przyszłość państw bałtyckich.

Litewsko-łotewskie rokowania handlowe mogłyby się toczyć z większym skutkiem, o ileby rozstrzygnięte były przedtem zagadnienia, któreby stwoczyły dla rokowań trwalszą podstawę, aniżeli obecna.

Zaczarowane, czy zaklęte koło zbliżenia trzech państw bałtyckich wciąż jeszcze oczekuje na odżeganie uroku.

KAZYS BINKIS.

Wiatropęd.

Hej! zaprzęgnę wiatr ja chyży,
Wiatr obejmę wiecznie młody —
Przez nadchmurne niebne szlaki
Z wiosną puszczę się w zawody.

Hej! łabędzie!... z drogi... z drogi!
Hej! żórawie! drogę nam!...
Ponadchmurne niebne szlaki
Wszystkie znam!...

Miga wstęgą płaszczyz mój z mgły,
Wiatr szaleje wścickły, zły,
Gasną w strachu gwiazd mirjady,
Twarz swą chowa księżyc bladey.

Kto odemnie zwabi wicher?
Wiatr okiełzać komu dam?
Wielką drogą ponadchmurną
Jeżdżę ja, i tylko sam!

Hejże, wiosno! Ty pozostań,
Łap swe żaby i ślimaki...
Hej! wy ptaki, bądźcie zdrowe!
Pozostawiam ziemię wam —
Ponadchmurne niebne szlaki
Jeden ja tu tylko znam!

Tłum. J. Kajruksztisowa.

Brak quorum.

W tygodniach ostatnich wileńskie „Słowo“ patetycznym piórem p. W. Charkiewicza dwakroć występowało z apelem o tworzenie u nas jednolitego bez różnicy narodowości i wyznania frontu przeciwateistycznego. Pisało się to w związku z rozgłosną odezwą ukraińskiego grecko-katolickiego episkopatu o ratunek dla Ukrainy Sowieckiej.

Pierwiej nim rozważymy możliwość takiego frontu, musimy stwierdzić, że owo orędzie episkopatu Cerkwi gr.-kat. najpewniej postawiło sobie za zadanie tylko zaalarmować cały świat, zwracając jego uwagę na okropny stan rzeczy we Wschodniej Ukrainie. Natomiast osiągnąć celów szerszych i dalszych narazie ono nie zamierzało i nie spodziewało się. Podpisani na odezwie władcyowie zbyt są realistami i sceptykami, by ludzić się nadzieją powstania dziś wskutek ich głosu zbiorowego, — takiego frontu, o który chodzi p. W. Ch. Wybornie się

orientują biskupi gr.-katolicy tak w stosunkach wewnętrznych Rzeczypospolitej, jak i na szerokim świecie, w pierwszej linii w Europie. Zresztą łatwiejby uwierzyć, że jednolity front przeciwbezbożniczy może powstać gdzieś zagranicą, niż w Polsce, gdzie wewnętrzne stosunki polityczne zupełnie nie sprzyjają takiej solidarnej akcji. Ordynariusze gr.-katolicy nie zawiedli się już na Austrii (akcja kard. Innitzera), mogą doczekać się wystąpienia podobnego katolików francuskich, holenderskich, belgijskich, nawet włoskich i niemieckich, bo w krajach tak jednolitych dość łatwo będzie o wspólny front. Lecz w Rzeczypospolitej Polskiej daremnieby czekali czegoś podobnego. Katolicy nie Polacy i nie łacinnicy dla katolicyzmu polskiego są heterogeniczni, obcy, niepożądani, w najlepszym razie nierozumiani i nieznanzi. Żaden apel episkopatu polskiego nic tu zmienić nie zdoła. Czynniki miarodajne dobrze to wyczuwają i wcale nie zamierzają napróżno kompromitować się wysuwaniem tak sztucznego u nas hasła, jak jednolity front przeciw propagandzie bezbożnictwa ze Wschodu.

Byłbym gołosłownym i suchym teoretykiem, jeślibym nie poparł powyższego przykładami z naszej codziennej rzeczywistości.

Wydany w Wilnie apel o taki jednolity front napewno nie pozyskałby *Litwinów*, którzy zawsze pełni są łatwo zrozumiałej nieufności i uprzedzenia do wszystkich poczynań polskich i zgoda nie zareagują nawet na najbardziej patetyczne nawoływanie. Zmiana napisu na kaplicy Ostrobramskiej jest pełna dla nich wymowy.

Jeśli chodzi znowu o *Białorusinów*, których „Słowo“, skąd apel się rozlega, prawie nie dostrzega i nad których prawem do bytu odrębnego wzrusza tylko ramionami, to mowy być nie może, by ktokolwiek z Białorusinów o twardej kćści pacierzowej zechciał rękę przyłożyć do wątpliwej i zgóry skazanej na niepowodzenie entrepryzy.

A z *Rosjan...?* Tuby nie zabrakło bezrobotnych inteligentów i pracowników umysłowych, coby chętnie a zaraz zaofiarowali swój czas i pracę, lecz nikt nigdyby nie wiedział, kogo oni reprezentują, w czyjem imieniu przemawiają i czego chcą... no i jak długo będzie w ich interesach robienie i popieranie owego frontu do walki z ateizmem. Byłaby to naprawdę nowa „biała armja“ *en miniature*, bez siły Judeniczów, Kołczaków i Denikinych, lecz z wszystkimi ich mankamentami.

Niemcy, nawet ci, co zamieszkali ławą na zachodzie, w nikłej diasporze u nas, nie potrzebują w chwili obecnej szukać jakichś innych frontów, krom hitlerowskiego w ich vaterlandzie i nie pociągają ich zgoda p. W. Ch. gromkiem rzucaniem hasel religijnych i nawoływaniem do stwarzania frontu z... niczego, bez żołnierzy i bez dowódców odpowiednich, bez oręża i bez planów właściwych.

Po pamiętnych rozruchach listopadowych w roku 1931, po nieustannem nawoływaniu przez jedynie zbawczą endecję do szykanowania młodzieży żydowskiej na U. S. B. w Wilnie, która z *Żydów* odważyłby się dziś, wobec społeczeństwa własnego, stawać do szeregów frontu p. W. Ch.?

Siłą rzeczy — tak mogłoby się zdawać — *Ukraińcy* będą dla Polaków najlepszym na froncie anti-bezbożniczym sojusznikami, lecz tu znowu wyrastają z punktu Himalaje nie nowych żalów i pretensyj między Ukrainą a Polską. I niech nie łudzą p. W. Ch. sporadyczne wypadki wygrywania jego osoby,

jego studjów literackich i artykułów dziennikarskich przez ukraińską bazylijską prasę w pełnej momentów emulacji walce ich z jezuitami obrz. wsch. na terenie białorusko-ukraińskim. Zwłaszcza w chwili wciąż rosnącego zbliżenia polsko sowieckiego, odbywającego się jak wiadomo, kosztem Ukraińców i Białorusinów, apel p. W. Ch. nie wiem czy doczeka się w niezależnej prasie ukraińskiej nawet „wzmianki z obowiązku dziennikarskiego”. W każdym razie, nic ponadto, a z tem o organizacji frontu trudno myśleć.

Swoje wezwanie do współpracy w walce przeciwateistycznej p. W. Ch. przedewszystkiem (!), skierowuje do tej garstki nielicznej kapłanów zjednoczonych obrz. wsch., którym od lat 6—7 nie szczędzi tylu nietylko zarzutów, lecz wprost insynuacji przeróżnych, zmierzając tą drogą, zbyt już wyraźnie, do obniżenia ich, nie powiem, autorytetu, lecz do dobrego imienia, mimo, że wola Kościoła postawiła ich w chwili trudnej na najcięższym być może posterunku duszpasterskim. Ich to właśnie dziś p. W. Ch. wzywa do tego, by najwydatniej pracowali obok niego nad organizacją frontu przeciw ateizmowi! Wolne żarty! Przydałoby się trochę taktu.

Licentia poetica Kazimierzy Młakowiczówny w czytankach dla dzieci polskich z Danji p. t. *Kocham Wilno* (w „Słowie”) przedstawiła swego czasu nasze Wilno, jako pławiące się w najbardziej szerokiej miłości miasto. Zaiste łatwo o tem pisać dla dzieci polskich z odległej Danji i tylko one mogą temu uwierzyć. Rzeczywistość bowiem mówi o Wilnie wręcz przeciwnie. Wilno trzeba byłoby raczej nazwać miastem nienawiści — najgłupszej, najbezsensowniejszej i najpotworniejszej. To nie nienawiść przedwojennego Francuza, spoglądającego na przesłonięty zawsze krepą posąg Strasburga w Paryżu! To nie nienawiść Chorwata, opowiadającego o murawjowskich metodach banów madziarskich w Zagrzebiu! Specyficzną cechą nienawiści ze strony Polonii wileńskiej (czy to względem Litwinów, czy Białorusinów, czy wreszcie Żydów), była i jest głupota. Świeżo właśnie czytaliśmy skreślone z Wilna i wysłane do redakcji pewnego pisma krakowskiego takie oto szczerze wyznanie: „*Jenerał Cikota (Białorusin), pop Dionizy (Moskal), pop Szeptycki (Ukraińiec) — to jeden djabeł we trzech osobach*”.

Czy wobec tego możliwy jest dziś u nas jednolity front antybezbożniczy?

Vigilans.

Pod wpływem gazów.

Nuda, szarżyzna codzienna, apatja w oczekiwaniu jakiejś zmiany zostały w naszym grodzie chwilowo przerwane zjawiskiem — w gruncie rzeczy bardzo drobnem — próbnym atakiem gazowo-lotniczym.

By wilanian zbudzić ze śpiączki i zobojętnienia, jak się okazuje, nie potrzeba dużo. Wystarczy na murach nalepić ogłoszenia z grubym drukiem: „bacność”. A ponieważ z ogłoszeń tych odczuwał się przedsmak wojny i budziły one niezatarte jeszcze w duszach wspomnienia niedawnych przeżyć wojennych, niewinny ten alarm w niejednym sercu wywołał uczucie prawdziwej trwogi. I zaczęło się.

Uszczelnianie, zalepianie, naklejanie a przedewszystkiem gadanie i rozsiewanie nieprawdopodobnych plotek. W takim

to mieście „zagazowano” tyle a tyle osób, w innem jeszcze więcej.

„Jak pan sądzi — pytała pewna uroczą wilanianka — czy nie lepiej na czas ataku wyjechać do Wołokumpji?” Słyszało się pytania jeszcze bardziej niedorzeczne.

Aż przyszedł oczekiwany dzień. Na ulicach rzucono kilkadziesiąt petard, wieczorem powtórzono to samo przy zgaszonych lampach. Wprawdzie parę osób poparzyło się przez nieostrożność, tu ówdzie popękały szyby od detonacji, ale cóż to? To przecież... nic a przynajmniej mało. Spodziewano się wspanialszego efektu, widowiska bardziej emocjonującego. Znalezione wprawdzie człowieka leżące na chodniku, ale gdy go pogotowie ocuciło, okazało się, że jest „zagazowany” alkoholem.

Na obliczach zawiedzionych mieszkańców można było odczytać wyraźne rozczarowanie. Tyle przygotowań, oczekiwania, trwogi, a tu raptem nic. Poco to wszystko było — zapytywano siebie.

I znów nuda i szarżyzna codzienna. Ale atak próbny miał tę dobrą stronę, że okna zostały świetnie zaopatrzone na zimę.

* * *

Wileńskie „dni gazowe” nasunęły mi pewne refleksje na temat możliwości i niemożliwości przyszłej wojny. Dziś pisze się niemało o tem, że wynaleziono gazy, przeciwko którym żadne schrony i maski nie skutkują. Jest w tem może nie mało przesady, nie znaczy to jednak, iż w najbliższej przyszłości takie gazy istotnie nie będą wynalezione. A cóż wtedy? Czy naprawdę narody i państwa mogą się pewnego pięknego dnia wzajemnie wymordować, nie szczędząc dzieci, kobiet i starców?

Zdaje się, że niema powodów do takich obaw. Bo proszę się tylko zastanowić. Wojna gazowo-lotnicza, w przeciwieństwie do wszelkiej innej, nie będzie chroniła niczyjego życia niezależnie od miejsca pobytu i odległości od frontu wojennego. Innymi słowy parlamenty, rządy, dyplomaci, wodzowie t. j. ci, od których wszczęcie wojny zależy, decydując się na ten krok w obecnych warunkach, podpisывaliby poniekąd wyrok śmierci nietylko na wroga, nietylko na własnych żołnierzy, ale również na siebie i na swoje rodziny.

Dotychczas na wojnie, jak to ironicznie mówił Konopnicka, „najdzielniej biją króle, a najgęściej giną chłopcy”. Niegdyś przynajmniej królowie i wodzowie brali udział bezpośredni w walkach, narażając swe życie. Potem i to ustało. Sztaby i naczelne dowództwa kierowały operacjami wojennymi lokując się bezpiecznie na tyłach swych armij, nieraz o setki kilometrów od frontu.

Nie byliśmy jeszcze świadkami wojny lotniczo-gazowej w pełnem tego słowa znaczeniu, lecz to, co dziś daje się zaobserwować w tej dziedzinie, upoważnia do twierdzenia, że w przyszłej wojnie kwalifikuje się do roli przysłowiowego mięsa armatniego nietylko masa żołnierska, ale cała ludność, nie wyłączając tych mężów stanu i wodzów, którzy pociągnięciem pióra decydują o życiu i śmierci milionów. Stąd właśnie można przyjść do wniosku, że wojna w przyszłości w jej nowej formie uśmierci się sama przez się, stanie się niemożliwością. Do tego byłaby tylko potrzebna równowaga „uzbrojenia” chemicznego w państwach, ewentualnie w grupach państw.

Takie oto pocieszające — może ktoś powie naiwne — rozważania nasunęły się mi przy groteskowej imitacji wojny na ulicach naszego miasta.

Homo Sapiens.

Piszą do nas.

Niesłuszny zarzut.

W imię zasady *Audiat et altera pars*, proszę, jako jeden z uczestników IV konferencji unijnej w Pińsku, o zamieszczenie sprostowania zarzutu, postawionego ks. rektorowi Antoniemu Dąbrowskiemu T. J. z Dubna na Wołyniu przez pisma ukraińskie „Nowa Zoria” i „Nywa” oraz białoruską „Krynica”.

Sprawa tak się przedstawia.

Pewien umiejący po białorusku ksiądz Litwin, uczestnik konferencji, uskarżał się w Pińsku ks. Dąbrowskiemu, że nie zrozumiał dobrze referatu, wygłoszonego po ukraińsku przez redemptorystę z Kowla ks. Weliczkowskiego. Ponieważ ten referat nie ma być wcale drukowany w *Pamiętniku* konferencji, więc ks. Dąbrowski wysunął pytanie: „Czy nie byłoby można wygłoszone nie po polsku referaty uprzyścić w jakiś sposób dla wszystkich uczestników, a więc i tych, co nie rozumieją języka np. ukraińskiego?” Nic ponadto. Skoro się mówi o „uprzyściwieniu referatów ukraińskich”, suponuje się oczywiście, że referaty ukraińskie są i będą! Dla uprzyściwienia wystarczyłoby najzupełniej podać na początek referatu skrót łaciński lub polski, albo takąż reasumpcję na końcu. Zresztą technicznie mogło to być jeszcze jakoś inaczej. *Questio discutabilis*. Czyż nie inaczej radzą sobie takie czasopisma jak znakomite bazylikańskie *Zapiski* i zbliżona do gr. kat. Akademii Teologicznej we Lwowie *Bohosłowa*, które podają właśnie króciutkie skróty treści artykułów zamieszczanych w języku łacińskim lub francuskim?

Wymienione jednak wyżej organy prasowe pisały bez zastrzeżeń, że ks. Dąbrowski żądał w Pińsku wykluczenia z gruntu referatów ukraińskich i naogół niepolitycznych! Wobec takiego stawiania kwestji, czuję się w obowiązku, jako jeden z uczestników konferencji, oświadczyć, że naogół żaden postulat niedopuszczenia innego języka oprócz polskiego — zwłaszcza ukraińskiego! — nie był przez nikogo wysuwany.

Obecny.

Bibliografia.

Synodus Archidioecisana Vilnensis... Anno Domini MCMXXXI... celebrata. Vilno, 1932. Officina Typographica Archidioecisana.

W dniach ostatnich jest już w Wilnie do nabycia długo zapowiadana książka, zawierająca autentyczny opis odbytego w Wilnie w r. 1931 synodu archidiecezjalnego, statuty synodalne i załączniki, przeważnie różne instrukcje, które zajmują bodaj dwie trzecie grubego tomu, Wysunięty na stronę tytułową (oprawę) i początek księgi herb arcybiskupi ma być nazewnątrz świadectwem, że zwołanie synodu, jego przebieg i zatwierdzenie statutów wiążą się najściślej z osobą ordynariusza archidiecezji.

Dalej idzie *Synodorum Vilnensium anteaetorum brevis historia*, opracowana na podstawie dzieł Przyłgowskiego, Kurczewskiego i Fijałka, który też udzielił autorowi wymienionego skrótu różnych uwag i spostrzeżeń w zakresie dziejów diecezji wileńskiej.

Związała ta robótka aż nadto wymownie podkreśla ogromną rolę i wagę ingerencji, — już od chwili przyjęcia wiary przez Litwę, — Polski i jej wychładnika w życiu religijnym, Kościoła Polskiego. Poznań eryguje biskupstwo wileńskie i konsekruje katedrę, Poznań obiera biskupa wileńskiego, Poznań ustanawia kapitułę wileńską, Poznań na swych synodach ustanawia i promulguje statuty z mocą obowiązującą dla diecezji wileńskiej, a biskupi wileńscy, jako sufragani poznańscy, uczestniczą w tych synodach w charakterze członków lub wysyłają delegatów. Taki stan rzeczy trwa jeszcze w w. XVI, bo dopiero w pierwszej połowie tego wieku spotykamy pewną wzmiankę o samodzielnym nareszcie wileńskim synodzie. Uroczyste zebrania synodu odbywały się od wieków w Katedrze, raz tylko u św. Jana. Jeden z synodów wileńskich uświetnił swym udziałem, jako kaznodzieja synodalny, Piotr Skarga.

Po tym wstępie historycznym idą kolejno *Acta Synodi, Acta praesynodalia, Acta synodalia, Statuta Synodi Archidioecisanae Vilnensis (De fide catholica, De legibus ecclesiasticis, De personis, De rebus, De iudiciis i De delictis et poenis), Appendices, Instructiones, Associationes, Archidioecisanae Vilnensis* (konfiguracja parafii miejskich według ulic i osiedli zamiejskich, wiejskich — według wsi, dworów etc.) wreszcie *Indices*.

By jakoś sprząć Litwinów i Białorusinów z ordynarjatem i zapobiec ewentualnym skargom ich na pominięcie, do grona sekretarzy synodalnych powołano w r. 1931 ks. ks. Krz. Czybirasa i dr. Ant. Lewosza, Litwina i Białorusina. Uderza jednak brak w publikacji omówionej jakichś wytycznych *de lingua vernacula*, w której ma być głoszone u nas Słowo Boże i odprawiane nabożeństwo dodatkowe. Wygląda to tak, jakby archidiecezja wileńska była... kielecką lub wrocławską, gdzie żadne kwestje narodowościowe nie istnieją.

Wydawnictwo to powitać można z sympatją. Oto odbył się 26-ty synod w Wilnie, (ostatni był zwoływany za b-pa Zienkowicza dwakroć w latach 1774 i 1776, lecz *adversa fata* przeszkodziły doprowadzić zamierzenia do końca, dlatego za ostatni *de facto* uważany jest synod z r. 1744) i przybyło nowe ogniwo do długiego łańcucha takich wydawnictw synodalnych, dziś stanowiących już rzadkość, jak *Constitutiones* lub *Acta et Statuta* tego lub owego synodu wileńskiego. Mimo wszystkie zmiany w czasach i ludziach, nawiązano ponownie nie tradycjom.

Rzecz wydana niemal luksusowo: na dobrym papierze, druk wyraźny, oprawa trwała a estetyczna. Niedbała tylko korekta, nawet w tytułach rozdziałów, np. *De ligibus* i t. p. Mapa też o zbyt małej podziałce posiadać będzie niewielką wartość użytkową.

w.

Diskusja präsowa wokół książki „Droga na Wschód Rzymu” (Przyczynek do bibliografji, w sprawie obrzadku wschodniego). 1933. Warszawa. F. Hoesick.

Przyjaciele polityczni H. I. Łubieńskiego, autora głośnej przed rokiem broszury antiunijnej (lub może sam on?) zebrali skrzętnie drukowane wciąż roku artykuły i recenzje z „Drogi na Wschód Rzymu”, w liczbie 54, i wydali je w osobnej książce. Przyświecała im chęć, aż nadto wyraźna, zwrócenia jeszcze raz uwagi ogółu i czynników miarodajnych na sformułowane przez Łubieńskiego tezy i przedłu-

żenia w ten sposób tak cennego dla antagonistów akcji unijnej niezadowolenia i oburzenia.

Wstęp do książki zawiera *in extenso* dekret kard. Kakowskiego, proskrybujący broszurę Łubieńskiego, i identyczny lokalny zakaz jej w diecezji łomżyńskiej, jak też całkowitą aprobatę tego kroku przez najwyższą w Kościele instancję, Ojca św. Piusa XI. Wydawcy jednak nie wątpią, że czytelnik ich książki zsolidaryzuje się z nimi, mimo to byli na tyle uczciwi, że nie pominęli w swym zbiorze głosów prounijnych. Być może nie mylą się, bo płytki czytelnik polski — a imię jego legjon — znający tylko spreparowaną dlań specjalnie historję swego narodu i państwa, długo jeszcze patrzeć będzie na akcję unijną, niemal jak na wroga dziedzicznego, w rodzaju Moskala lub Prusaka. Lecz zostawmy w spokoju czytelnika i pozwólmy mu delektować się lekturą antiunijną rodzimych *bismarkaczy* (ze słownika Ad. Nowaczyńskiego).

Jeśli teraz chodzi o wartość zebranych w tomie artykułów, to ona jest b. nierówna. Acz wydać się może pozornie dziwnem, tak jest, że ogół podanych tu artykułów antiunijnych jest bez porównania słabszy od prounijnych. Gdy pierwsze tchną statolatrą, zdradzają złe ukrytą tendencję upaństwowienia katolicyzmu polskiego i ostatecznie dążą do spolszczenia mniejszości narodowych, drugie pisane są w duchu wzniosłej zasady: *wolny Kościół w wolnem państwie*, nawiązują do najpiękniejszych tradycji polskich w. XVI i bronią wolności myśli katolickiej i jej konkretnego tu wyrazu, akcji unijnej. Najlepszymi artykułami w całym zbiorze są te, co wyszły z pod pióra prof. Oskara Haleckiego, i przeciwnicy nic im doprawdy nie mogą przeciwstawić, i to nietylko równie wartościowego, lecz chociażby podobnego wagą gatunkową przesłanek, rozumowań i wywodów. B. dobrze umiał też ustosunkować się do akcji unijnej wytrawny publicysta „Kurjera Warszawskiego” Bolesław Koskowski. Natomiast na najniższym poziomie są głosy prasy endeckiej (i chadeckiej), ziejące nienawiścią na samą myśl o neounji, jaka przekreśla odwieczne marzenia endków o zasymilowaniu bez reszty Ukraińców i Białorusinów. Nawet nazwa „głosów” wydaje się tu w odniesieniu do prasy endeckiej nie na miejscu, bo są to raczej porykiwania zwierzęce z obawy, że zdobycz upatrzona ujść im może.

Przysłowiowa katolickość „Czasu”, przy zetknięciu się z zagadnieniem unijnem, zawiodła oczekiwania tych, co pamiętają lepsze czasy organu konserwy krakowskiej. Spotykamy w zbiorze i naszych dobrych znajomych z Wilna, jak J. O. z „Dziennika Wileńskiego”, pełen umiaru *Testis* z „Kurjera Wileńskiego”, *Lector* ze „Słowa”, a z „Przeglądu Wileńskiego” i jakieś anonimy z „Ekspresu Wileńskiego”.

Prasa mniejszości słowiańskich reprezentowana jest bodaj wyłącznie przez pisma ukraińskie, chociaż i Białorusini pisali coś w Wilnie o broszurze Łubieńskiego. Głosów swych wstydić się Ukraińcy nie potrzebują, bo takie artykuły, jak przedrukowane tu z „*Dziła*”, „*Nywy*” i „*Za Sobornist*” należą do najgłębszych, odznaczają się wielką rzeczowością i prawdę operują argumentami, a nie insynuacjami, podejrzeniami, naciąganiem, od czego zwykle się

roi w pełnych złośliwości artykułach naszych hurra-patriotów i hyperpaństwowców, których tak dosadnie określa użyty wyżej termin Ad. Nowaczyńskiego.

Oprócz prasy rosyjskiej, dano tu w przekładzie polskim głosy prasy obcojęzycznej i zagranicznej np. *Corriere del Tirreno* (Livorno), *Freie Presse* (Łódź), *Neue Züricher Zeitung* (Zürich), *Der Oberschlesische Kurier* (Katowice) i *La Revue de France* (Paris). Mało atoli są ciekawe te artykuły, nieraz tendencyjne, a zawsze przez kogoś inspirowane. Infekcja endecka, jak poucza doświadczenie, szczególnie łatwo się przyjmuje u przeciętnego Francuza, który *tout court* zaczyna recytować tezy endeckie.

Zgromadzone tu artykuły zawierają szereg cennych dowodów znanego skądinąd faktu, że antiunijne wystąpienia nieraz wyraźnie czerpią moci odwagę w sprzymierzonym z nim b. często, a w olbrzymiej swej większości niechętnym lub i wrogim Unji klerze polskim. Ale jest też coś więcej: „Kurjer Poznański” powołuje się nawet na „*część naszych dostojników kościelnych*”, która wyraźnie krytycznie odnosi się do metod propagandy obrządki wschodniego, znowu *Express Poranny* głosi, że „*przeciw akcji unijnej... wypowiadają się obecnie liczni (!) biskupi...*”. Takie głosy prasowe wymagają poprostu natychmiastowego *dementi*.

Mimo wszystko, minął jednak bezpowrotnie okres, gdy broszura Łubieńskiego stała rzeczywiście (acz przez czas krótki) w środku nieco szerszych zainteresowań i dziś, wobec nader szybkiego tempa życiowego, żaden przyczynek bibliograficzny momentu tego już nie wróci. Czy mamy tego żałować? Rzecz prosta—nie.

gar.

Odpowiedzi Redakcji i Administracji.

Staremu Polakowi. Artykułów anonimowych nie zamieszczamy. Nazwisko i adres autora muszą być znane redakcji.

Ciekawemu. Wrażenia z pobytu na wyspach Sołowieckich mogą być niewątpliwie nader interesujące, ale rozmiary i charakter naszego pisma nie pozwalają nam na ich uwzględnienie. Zresztą wileńska prasa codzienna zamieściła obszernie sprawozdania z relacyj p. Alechnowicza, nie widzimy więc potrzeby powtarzać rzeczy znanych.

Nieznajomemu z Wołkowyska. Nie wiemy Pańskiego nazwiska, więc w ten sposób może uda się nam Pana poinformować, że listów niefrankowanych nie odbieramy.

P. Hołowaczowi z Budslawia. Pismo nasze wysyłamy regularnie. Jeżeli jakie numery zaginęły, to z winy poczty. Prosimy o powiadomienie, których numerów Pan nie otrzymał.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał IV-ty.